

Grazia Deledda



Elias Portolu



A U T O R Z Y
L I T E R A C K I E J
N A G R O D Y
N O B L A



Elias Portolu



Grazia Deledda
Elias Portolu

Tłumaczył Jan Tyszowiecki

Jirafa Roja
Warszawa 2007

© Copyright by Jirafa Roja, 2007


Tytuł oryginału: „Elias Portolu”

Tłumaczenie: Jan Tyszowiecki

Redakcja: Quendi Language Services

Korekta: Magdalena Rejnert

Opracowanie graficzne serii: Grzegorz Zychowicz | Tatsu

Łamanie: Tatsu 

Koordinacja projektu: Quendi Language Services www.quendi.pl

ISBN 978-83-62948-24-6



Wydanie I
Warszawa 2007

I

Zbliżały się radosne dni dla rodziny Portolu z Nuoro. Pod koniec kwietnia miał wrócić syn Elias, który odbywał karę na kontynencie. Potem miał się żenić Pietro, najstarszy z młodych Portolu.

Szykowało się święto: dom pokryto nowym tynkiem, a wino i chleb były już gotowe¹. Zdać się mogło, że Elias miał wracać ze studiów i gdy skończyło się jego nieszczęście, rodzice czekali na niego nawet z pewną dumą.

Wreszcie nadszedł ten wielce oczekiwany dzień, zwłaszcza przez ciotkę Anneddę, czyli ich matkę, poczciwą kobietę, bladą i nieco przygłuchą, która kochała Eliasa najbardziej ze wszystkich swoich synów. Pietro, który pracował na roli, Mattia oraz wuj² Berte, ich ojciec, którzy byli pasterzami owiec, powrócili ze wsi.

Obaj młodzieńcy byli do siebie dość podobni. Niewysocy, krępi, brodaci, z ogorzałymi twarzami i długimi, czarnymi włosami. Także wuj Berte, szczywany lis, jak go zwali, był niski, o włosach czarnych i splątanych, które opadały mu aż na zaczerwienione, chore oczy, a przy uszach mieszały się z długą,

1. Wiadomo, że w wielu sardyńskich miasteczkach wypieka się specjalny chleb, który można przetrzymywać przez kilka tygodni.

2. Na Sardynii przydomek wuj nadaje się wszystkim starszym osobom z ludu.

nie mniej splątana czarna broda. Nosił przybrudzone ubranie z długą kapotą bez rękawów, z baraniej skóry, wełną do środka. Pośród całej tej czarnej sierści widać było tylko dwie ogromne dłonie koloru czerwonobrazowego, a na twarzy duży nos, również czerwonobrazowy.

Jednak z okazji uroczystości wuj Portolu umył dłonie i twarz, poprosił ciotkę Annedę o trochę oliwy z oliwek i dobrze namaścił sobie włosy, po czym rozczesał je drewnianym grzebieniem, pokrzykując z bólu przy tej operacji.

— Niech was diabeł czesze — mówił do swoich włosów, przekrzywiając głowę. — Nawet owcza wełna nie jest tak skołtuniona!

Kiedy kołtun został rozczesany, wuj Portolu zaplótł sobie warkoczyk na prawej skroni, drugi na lewej, a trzeci pod prawym uchem. Potem natarł i uczesał brodę.

— Teraz zróbcie sobie jeszcze dwa! — rzekł ze śmiechem Pietro.

— Nie widzisz, że wyglądam jak pan młody? — krzyknął wuj Portolu i też się zaśmiał. Miał charakterystyczny, wymuszony śmiech, który nie poruszał ani jednego włoska na jego brodzie.

Ciotka Annedda mruknęła coś, bo nie podobało jej się, że synowie traktują ojca bez szacunku. Ale wuj skarcił ją wzrokiem i powiedział:

— No dobra, co chcesz powiedzieć? Pozwól się chłopakom pośmiać. Teraz jest czas na zabawę. Myśmy się już zabawili.

Nadszedł czas przyjazdu Eliasa. Przybyło paru krewnych oraz jeden z braci narzeczonej Pietra i wszyscy ruszyli w kierunku stacji. Ciotka Annedda została sama w domu, z kotkiem i kurami.

Domek, z wewnętrznym podwórkiem, stał przy stromej uliczce, która schodziła ku głównej drodze. Za murem odgradzającym od uliczki rozciągały się ogrody warzywne, zwrócone frontem ku dolinie. Było jak na wsi: jakieś drzewo kładło

gałęzie na parkanie, nadając ulicze malowniczy wygląd, granitowy szczyt Ortobene i jasnobłękitne góry Olieny zamykały horyzont.

Ciotka Annedda urodziła się i dorastała tam, w tym zakątku pełnym czystego powietrza i może dlatego pozostała na zawsze kobietą prostą i czystą jak siedmioletnie dziecko. W ogóle całe sąsiedztwo zamieszkane było przez ludzi poczciwych, przez dziewczęta, które chodziły do kościoła, przez rodziny o prostych obyczajach.

Ciotka Annedda co chwila stawała w otwartej bramie, rozglądała się na wszystkie strony, i znów wracała do środka. Sąsiadki także oczekiwały powrotu więźnia, stojąc w drzwiach lub siedząc na topornych kamiennych ławach, opartych o ścianę. Kot ciotki Anneddy medytował w oknie.

I oto rozległy się głosy i kroki w oddali. Jedna z sąsiadek szybko przebiegła przez uliczkę i wetknęła głowę w bramę ciotki Anneddy.

— To oni. Już są! — zawołała.

Kobieta, roztrzęsiona, wyszła na dwór jeszcze bledsza niż zwykle. W jednej chwili grupa mieszkańców wdarła się na uliczkę, a wyraźnie wzruszony Elias podbiegł do matki, pochylił się i uściskał ją.

— Następnego za sto lat, następnego za sto lat³ — mamrotała płacząc ciotka Annedda.

Elias był wysoki i szczupły, o bardzo jasnej, gładkiej twarzy. Miał czarne, krótko obcięte włosy i błękitno-zielonkawe oczy, a dłonie i twarz wydelykaczone przez długą odsiadkę.

Wszystkie sąsiadki gromadziły się wokół niego, odpychając innych mieszkańców. Ścisnęły mu dłoń, życząc:

— Podobnego nieszczęścia za sto lat.

3. Sardyńskie życzenie, składane zwłaszcza osobie zwolnionej z więzienia: „Następnego (podobnego) nieszczęścia za sto lat”. Odpowiedź powinna brzmieć: „Dopomóż Bóg” — przyp. tłum.

— Dopomóż Bóg! — odpowiadał.

Po czym weszli do domu. Kot, który na widok zbliżających się mieszkańców zszedł z okna, przeniósł się na zewnętrzne schodki, po czym zeskoczył przestraszony i biegał tam i z powrotem, a wreszcie się ukrył.

— Kici, kici — zaczął wołać wuj Portolu — diabeł cię opętał, nie widziałeś nigdy chrześcijan? Cośmy, mordercy, że nawet koty uciekają? Jesteśmy uczciwi, dobrzy ludzie!

Szczwany lis miał wielką ochotę krzyczeć i rozmawiać, więc mówił bez ładu i składu.

Wszyscy usiedli w kuchni i podczas gdy ciotka Annedda nalewała trunki, wuj Portolu wziął we władanie Jacu Farrego, swojego krewniaka, pięknego, rumianego i tłustego mężczyznę, i nie dawał mu spokoju.

— Widzisz — krzyczał ciągnąc go za fałdę płaszcza i wskazując na synów. — Widzisz teraz moich synów? Trzy gołębie! I silni, ech, i zdrowi, i piękni! Widzisz ich w rządzie, widzisz? Teraz, kiedy wrócił Elias, będziemy jak cztery lwy. Nie tknie nas nawet mucha. Ja też jestem silny, wiesz. Nie patrz tak, Jacu Farre, ja na ciebie gwizdzę, rozumiesz? Mój syn Mattia jest moją prawą ręką. Teraz Elias będzie lewą. A Pietro, mój mały Pietro, mój Preddedu? Widzisz go? Jest jak kwiat! Zasiał dziesięć kwart owsa i osiem pszenicy, i dwie bobu. Ech, jeśli będzie się chciał ożenić, dobrze utrzyma żonę! Nie zabraknie mu zbiorów. To kwiat, mój Preddedu. Ach, moi synowie! Nie ma drugich takich jak oni, w całym Nuoro.

— Ej, ej! — wydusił z siebie Farre, niemalże jęcząc.

— Ej! Ej! Jacu Fà, co ma znaczyć to twoje ej, ej? Może bzdury opowiadam? Pokaż mi innych trzech młodzieńców jak moi synowie, uczciwych, pracowitych i silnych. Mężczyźni z nich, prawdziwi mężczyźni!

— A kto ci mówi, że to kobiety?

— Kobiety, kobiety! Ty jesteś kobietą, kwadratowy kałdunie — zawołał wuj Portolu, naciskając wielkimi dłońmi na brzuch

krewniaka. — Ty, a nie moi synowie! Nie widzisz ich? — kontynuował, zwracając się z uwielbieniem w stronę trzech młodzieńców. — Nie widzisz ich? Ślepy jesteś? Trzy gołębie...

Ciotka Annedda podeszła z kieliszkiem w jednej i karafką w drugiej ręce. Napełniła kielich i podała go Farremu, a ten oddał go grzecznie wujowi Portolu. Wuj Portolu wznosił toast.

— Pijmy! Za zdrowie wszystkich! A ty, kobieto, żono moja, nie musisz już się niczego bać. Będziemy jak lwy. Teraz nie tknie nas nawet mucha.

— Daj spokój — odpowiedziała kobieta.

Nalała Farremu wina i przeszła do innych. Wuj Portolu odprowadził ją wzrokiem, po czym powiedział, dotykając palcem prawego ucha:

— Jest trochę... tu. Nie za dobrze słyszy, ale cóż to za kobieta! Dobra kobieta! Wie, co robi! Poza tym jest uczciwa! Ach, takiej jak ona...

— Nie ma w całym Nuoro!

— Właśnie! — krzyknął wuj Portolu. — A może kto widział, żeby plotkowała? Nie ma obawy, jak Pietro sprowadzi tu żonę, dziewczyna będzie miała dobrze!

I zaraz zaczął wychwalać także dziewczynę. To róża, istny brylant, dorodna palma! Szyje i przędzie, dobra z niej gospodyni, uczciwa, piękna, dobra, zamożna.

— No i — stwierdził ironicznie Farre — nie ma drugiej takiej w Nuoro!

Tymczasem grupa młodzieży rozmawiała żywo z Eliaszem, pijąc, śmiejąc się i spluwając. Najwięcej śmiał się on, ocalały z nieszczęścia, lecz jego śmiech był słaby i urywany, a głos znużony. Jego twarz i dłonie wyróżniały się spośród wszystkich tych ogorzałych twarzy i dłoni. Jakby był kobietą przebraną za mężczyznę. Także język, jakim mówił, nabrał szczególnych, egzotycznych cech. Mówił z pewną afektacją, na poły po włosku, a na poły w dialekcie, używając przekleństw rodem z kontynentu.

— Posłuchaj, jak was ojciec wychwała — powiedział przyszły szwagier Pietra. — Mówi, żeście gołębie, a ty, Eliasie Portolu, jesteś naprawdę biały jak gołąb.

— Ale staniesz się znowu czarny — odrzekł Mattia. — Od jutra będziemy chodzić do owczarni, nieprawdaż mój bracie?

— Czy on biały, czy czarny, to mało ważne — powiedział Pietro. — Zostawcie te głupoty i dajcie mu opowiadać dalej to, co opowiadał.

— Mówiłem więc — zaczął znowu słabym głosem Elias — że ten wielki pan, mój kompan z celi, był szefem złodziei z tego wielkiego miasta, jak ono się nazywa... Nie pamiętam, nieważne. Był ze mną, zwierzał mi się ze wszystkiego. To się nazywa kraść! Czym są przy tym nasze występki? My, na przykład, jednego dnia potrzebujemy czegoś, idziemy i kradniemy wołu i potem go sprzedajemy. Łapią nas, skazują, a ten wół nawet nie starcza na adwokata. Ale tamci wielcy złodzieje to co innego! Zdobywają miliony, ukrywają je, a potem, po wyjściu z więzienia, są bogaczami, jeżdżą karocą i używają życia. Czymże przy nich jesteście my, sardyńskie osły?

Młodzieńcy słuchali z uwagą, pełni podziwu dla wielkich złodziei zza morza.

— Był też jeden ksiądz — kontynuował Elias — bogacz, co miał na książeczce wiele tysięcy lirów.

— Ksiądz też?! — wykrzyknął Mattia ze zdumieniem.

Pietro spojrział na niego z uśmiechem, jak gdyby nigdy nic, choć sam się dziwił.

— A tak, ksiądz. A co, księża nie są takimi samymi ludźmi jak inni? Więzienie jest przecież dla ludzi.

— Za co on tam trafił?

— No... Zdaje się, że chciał, żeby obalono króla i na jego miejscu osadzono papieża. Inni mówili jednak, że on też siedział za jakieś sprawy z pieniędzmi. To był wysoki mężczyzna, o włosach białych jak śnieg. I ciągle czytał. A inny umarł

i zostawił skazańcom wszystkie pieniądze, jakie miał na książeczce. Chcieli mi dać pięć lirów, ale odmówiłem. Sardyńczyk nie potrzebuje jałmużny.

— Głupiś! Ja bym je wziął! — zawołał Mattia. — Upiłbym się uroczyście za zdrowie zmarłego.

— To zabronione — odparł Elias. Stał przez chwilę w milczeniu, zatopiony we wspomnieniach. Potem krzyknął: — Jezu! Jezu! Ile tam ludzi było, każdego stanu! Był ze mną jeden Sardyńczyk, wojskowy. Wsadzili go na okręt w Cagliari tej samej nocy co mnie. Wierzył, że go zwolnią, ale zabrali go tak, że ani się nie spostrzegł.

— Och, ja mówię, że się jeszcze spostrzeże!

— Och, ja też!

— Chwalił się, że go szybko ułaskawią, bo był krewnym ministra i miał jeszcze krewniaka na dworze królewskim. No i zostawili go tam. Nikt do niego nie pisał; nikt grosza nie przysłał. A *w tych miejscach*, jak się nie ma pieniędzy, zdycha się z głodu, Bóg mi świadkiem! A strażnicy! — krzyknął, krzywiąc się. — Mnóstwo klawiszy! Prawie wszyscy to Neapolitańczycy, kanalie. Jak widzą, że umierasz, plują na ciebie. Ale zanim wyszedłem, powiedziałem jednemu z nich: „Spróbuj przyjechać w nasze strony, łajdaku, a skręcę ci kark”.

— Tak — rzekł Mattia — spróbuj tylko przejść koło naszej owczarni, a damy ci bobu!

— Och, on tu nie przyjedzie!

— Kto nie przyjedzie? — zapytał zbliżając się wuj Portolu.

— Strażnik, który pluł na Eliasa — odparł Mattia.

— Nie, do diabła, wcale na mnie nie pluł. Co ty opowiadasz?

Wszyscy zaczęli się śmiać. Wuj Portolu zawołał:

— Elias i tak by mu nie pozwolił. Jednym ciosem wybiłby mu zęby. Elias to mężczyzna. Jesteśmy mężczyznami, nie kukielkami ze świeżego sera, jak ci z kontynentu, chociaż są strażnikami...

— Jakimi strażnikami! — powiedział Elias, wzruszając ramionami. — Strażnicy to kanalie. Ale są też tam prawdziwi panowie. Żebyście widzieli! Wielcy panowie, co jeżdżą karocą, co jak przybywają do więzienia, mają tysiące lirów na książeczce.

Wuj Portolu zdenerwował się, splunął i rzekł:

— Kimże oni są? Ludźmi ze świeżego sera! Idź i każ im złapać na łące nieujędzonego źrebaka, albo ujarzmić byka, albo strzelić z arkebuz! Prędzej umrą ze strachu! Kim są ci panowie? Moje owce są bardziej odważne, Bóg mi świadkiem.

— A jednak, a jednak... — nalegał Elias — jak byście zobaczyli...

— A ty co widziałeś? — odciął się pogardliwie wuj Portolu. — Nic nie widziałeś. Ja w twoim wieku nic nie widziałem. Ale zobaczyłem później i wiem, czym są panowie i ci z kontynentu, a czym Sardynczycy. Ty jesteś kurczakiem, co ledwie wykłuł się z jajka.

— Nie jestem kurczakiem! — mruknął Elias, uśmiechając się gorzko.

— Raczej kogutem! — rzekł Mattia.

A Farre na to życzliwie:

— Nie, ptaszkiem...

— Który wyszedł z klatki! — krzyknęli ze śmiechem pozostali.

Rozmowa stała się ogólna. Elias przeszedł do opowiadania swoich wspomnień, mniej lub bardziej dokładnych, o miejscu i ludziach, których tam zostawił. Inni komentowali i śmiali się. Ciotka Annedda także słuchała, z błogim uśmiechem na spokojnej twarzy, nie udawało jej się jednak wychwycić wszystkich słów Eliasa. Ale Farre usiadł obok niej, zbliżył twarz do jej ucha i powtarzał głośno jego opowieści.

Wciąż przychodzili nowi goście, przyjaciele, krewni, sąsiedzi. Podchodzili do Eliasa, wielu go całowało i wszyscy życzyli mu:

— Następnego za sto lat!

— Dopomóż Bóg! — odpowiadał, naciągając czapkę na czoło.

A ciotka Annedda nalewała wina. Krótco mówiąc, kuchnia była pełna ludzi. Wuj Portolu nieustannie krzyczał, dając wszystkim do zrozumienia, że jego synowie są jak trzy gołębie i że chciałby jeszcze długo zabawiać tak wszystkich tych ludzi. Pietro palił się jednak, by przedstawić Eliasowi swoją narzeczoną i namawiał go, żeby z nim wyszedł.

— Chodźmy zaczerpnąć powietrza — nalegał. — Ten biedny czort zbyt długo siedział w zamknięciu, żebyście go tu trzymali przez cały wieczór.

— Powietrze dobrze mu zrobi! — odpowiedział jeden z krewniaków. — Ta jego dziewczęca buzia znowu stanie się ciemna jak proch strzelniczy.

— Wierzę, że tak będzie! — zawołał Elias, przesuwając dłońmi po twarzy, zawstydzony swoją bladeścią.

Wreszcie Pietro został wysłuchany i mieli już wychodzić, kiedy zjawiła się przyszła teściowa, chuda wdowa, wysoka i wyprostowana, o ziemistej twarzy owiniętej czarnym szalem. Towarzyszyło jej dwoje młodszych dzieci, dziewczynka i młodzienaszek, już pełen buty.

— Synu mój! — zawołała wdowa z emfazą i z otwartymi ramionami rzuciła się w kierunku Eliasa. — Niech Pan ześle ci za sto lat następne z tych nieszczęść.

— Dopomóż Bóg!

Ciotka Annedda chodziła przejęta za wdową i prawiała jej komplementy. Ale wuj Portolu zajął się już kobietą, chwycił jej dłoń i zaczął nią potrząsać.

— Widzisz go? — krzyczał jej prosto w twarz. — Widzisz go Arrito Scada! Gołąb powrócił do gniazda. Czyja teraz kolej? Czyja? Powiedz no, Arrito Scada...

Na to nie potrafiła odpowiedzieć.

— Dajcie mu mówić — zawołał Pietro, zwracając się do wdowy. — Jest dzisiaj szczęśliwy.

— Bo i ma czemu być szczęśliwy!

— Pewnie, że jestem szczęśliwy. A ty, co powiesz? Nie powinienem być szczęśliwy? Nie widzisz tego gołębia? Wrócił do gniazda. Jest biały jak lilia. I opowiada takie piękne historie. Arrito Scada, słyszałaś? Jesteśmy jedną rodziną, domem mężczyzn. Powiedz swojej córce, że poślubi kwiat, a nie śmiecia.

— Wierzę, że tak będzie.

— Naprawdę wierzysz? A może myślisz, że twoja córka przyjdzie tu robić za służącą? Przyjdzie robić za panią, znajdzie chleb i wino, pszenicę, jęczmień, bób, oliwę: wszystkie dary Boże. Widzisz te drzwiczki? — wykrzyknął, każąc ciotce Arricie obrócić się w kierunku drzwiczek w głębi kuchni. — Widzisz? Tak? Wiesz, co jest za tymi drzwiami? Tam jest sto skudów sera. I mnóstwo innych rzeczy.

— Skończcie z tym, skończcie z tym — powiedział Pietro, nieco zakłopotany. — Ona nie wie, co zrobić z waszymi darami Bożymi.

— Poza tym — zauważył Elias — Maria Maddalena nie wyjdzie za Pietra dla naszego sera.

— Synu serca mego! Na świecie wszystko jest dobre! — stwierdziła ciotka Arrita. Syn jej stał obok i nic nie mówił, tylko uśmiechał się drwiąco.

— Chodźmy, chodźmy, skończcie z tym! — powtarzał Pietro.

— Ciotka Annedda widząc, że nie dadzą jej powiedzieć ani słowa, zabrała się do przygotowywania kawy dla teściowej syna.

— Mój mąż — rzekła do niej, gdy wreszcie mogła mieć ją tylko dla siebie — jest zbyt przywiązany do rzeczy ziemskich. Nie myśli wcale, że Pan dał nam swoje dary, chociaż na nie często nie zasługujemy i że Pan może je w każdej chwili odebrać.

— Wszyscy mężczyźni są tacy, moja Anneddo — pocieszyła ją tamta. — Nie myślą o niczym innym, jak tylko o rze-

czach ziemskich. Dajmy temu spokój. Ale co ty robisz? Nie przeszkadzaj sobie. Wpadłam tylko na chwileczkę i zaraz sobie pójdę. Widzę, że Elias ma się dobrze, jest biały jak dziewczyna, niech mu Bóg błogosławi.

— Tak, dzięki Bogu wygląda na to, że ma się dobrze. Wiele wycierpiał, biedna ptaszyna!

— Ach, miejmy nadzieję, że to już skończone. On już na pewno nie wróci do złego towarzystwa. Bo to złe towarzystwo sprowadziło na niego nieszczęście.

— Bądź błogosławiona, twoje słowa są jak złoto, moja Arrito Scada. Ale o czym to mówiłyśmy? Mężczyźni nie myślały o niczym innym, jak o sprawach ziemskich. Gdyby choć troszkę pomyśleli o tamtym świecie, byłiby bardziej prawi. Oni myślą, że to życie ziemskie nigdy się nie kończy. A to życie jest jak nowenna — nowenna i do tego krótka. Cierpimy na tym świecie. Róbmy tak, żeby to pisknę — dotknęła piersi — było spokojne i nie miało do nas o nic żalu. Reszta niech idzie, jak chce. Weź sobie więcej cukru, Arrito. Żeby twoja kawa nie była gorzka.

— Tak jest dobrze. Nie lubię słodkiej.

— Dobrze, mówiłyśmy, że wystarczy mieć spokojne sumienie. Natomiast mężczyźni na to nie zważają. Im wystarczy, że plony są dobre, że zrobią dużo sera, zbiorą dużo pszenicy, dużo oliwek. Ach, oni nie wiedzą, że życie jest takie krótkie, że wszystko, co ziemskie, tak szybko przemija. Podaj mi swą filiżankę, nie krępuj się. Ach, nic się nie stało, łyżeczka upadła. Sprawy ziemskie! Idź Arrito Scada nad brzeg morza i policz wszystkie ziarenka piasku. Jak je policzysz, będziesz wiedziała, że są niczym w porównaniu z wiecznością. A nasze lata, lata, które spędzamy na ziemi, zmieszczą się w garści dziecka. Zawsze o tym mówię Bertemu Portolu i wszystkim moim synom. Ale oni są zbyt przywiązani do tego świata.

— Oni są młodzi, moja Anneddo, trzeba mieć to na względzie. Poza tym zobaczysz, że Elias nabrał rozumu. Jest poważ-

ny, bardzo poważny. Lekcja nie była lekka i będzie mu służyła do końca życia.

— Niech najświętsza Maryja z Valverde dopomoże! Ach, Elias to chłopak z sercem na dłoni. Kiedy był dzieckiem, wyglądał jak dziewczynka. Nie używał przekleństw, złego słowa nie powiedział. Kto by uwierzył, że właśnie przez niego wyleję tyle łez?

— Wystarczy, teraz to wszystko przeszłość. Teraz twoi synowie naprawdę przypominają gołębie, jak powiada twój mąż. Wystarczy, by między nimi panowała zawsze zgoda, miłość...

— Ach, o to nie ma obawy, niech cię Bóg błogosławi! — rzekła ciotka Annedda z uśmiechem.

Po kolacji ciotka Annedda mogła wreszcie spotkać się z Eliaszem. Usiedli na podwórku, na świeżym powietrzu. Brama była otwarta, uliczka opustoszała. Było jak w letnią noc, cichą, z przejrzystym niebem umajonym migoczącymi gwiazdami. Za ogrodami, za główną drogą, w oddali, dało się słyszeć srebrzyste dzwonienie owiec na pastwisku. W powietrzu unosił się ostry zapach świeżej trawy. Elias wdychał ten zapach, wdychał świeże powietrze przez rozdęte nozdrza z instynktowną, zachłanną chciwością. Czuł, jak ciepła krew pulsuje mu w żyłach i mile ciąży głowa. Wypił sobie i czuł się szczęśliwy.

— Byliśmy u narzeczonej Pietra — powiedział słabym głosem. — To całkiem ładna dziewczyna.

— Tak, jest brunetką, ale jest ładna. Poza tym jest całkiem mądra.

— Jej matka wydaje mi się dość zarozumiała. Jak ma solda, to pokazuje, że ma skuda. Ale dziewczyna wygląda na skromną.

— Czego chcesz? Arrita Scada pochodzi z dobrej rasy i jest z tego dumna. Poza tym — ciotka Annedda przeszła na swój ulubiony temat — nie wiem, jaki pożytek z wyniosłości i dumy. Bóg powiedział: „trzy tylko rzeczy musi mieć człowiek: miłość,

dobroć, skromność”. Jaki pożytek z innych namiętności? Ty doświadczyłeś życia, mój synu. Co o tym sądzisz?

Elias westchnął głęboko i uniósł twarz ku niebu.

— Macie rację. Doświadczyłem życia. Nie dlatego, żebym zasłużył na nieszczęście, jakie mnie spotkało, bo, jak wiecie, byłem niewinny, ale dlatego, że Pan nie płaci w soboty, lecz w niedziele spłaca wszystkie rachunki⁴. Byłem złym synem i Bóg mnie pokarał, postarzył mnie przedwcześnie. Towarzystwo sprowadziło mnie na złą drogę i przez to, że się z nimi zadawałem, dałem się zrobić w nieszczęście.

— A ci twoi kamraci, kiedy ty cierpiałeś, nie spytali nawet o wieści od ciebie. Najpierw, jak byłeś wolny, nie odchodziłi od tej bramy. „Gdzie jest Elias? Gdzie Elias?”. A Elias wychodził do nich i znikał. A potem? Potem znikli, a jeśli już musieli przechodzić tą ulicą, naciągali beret na twarz, żebyśmy ich nie rozpoznali.

— Dosyć tego, matko! To już skończone. Zaczynam nowe życie — Elias znów westchnął. — Teraz nie istnieje dla mnie nic poza rodziną. Wy, ojciec, moi bracia. Ach, uwierzcie mi, sprawię, że zapomnicie o przeszłości. Będę jak sługa, na wasze rozkazy. Będę jak nowo narodzony.

Ciotka Annedda poczuła, jak słodkie łzy napływają jej do oczu. A ponieważ wydało jej się, że Elias zanadto się wzruszył, zmieniła temat.

— Byłeś zawsze zdrow? — zapytała. — Bardzo schudłeś.

— Czegoż chcecie? W *tamtych miejscach* chudnie się i bez choroby. Nieróbstwo zabija bardziej niż jakiegokolwiek zajęcie.

— Nigdy nie pracowaliście?

— Robi się tam robotki ręczne, szewskie lub kobiece! W ten sposób ma się wrażenie, że czas wcale nie upływa. Minuta wydaje się rokiem. To okropna rzecz, matko.

4. Przysłowie sardyńskie — przyp. tłum.